

Jeffrey Eugenides

jako intelektualny pirat

Agata Araszkiewicz

Prawdziwym powodem tego tekstu jest moja niedawna lektura *Intrygi małżeńskiej*, ostatniej powieści znanego i cenionego amerykańskiego pisarza Jeffreya Eugenidesa. Akademicki wykładowca literatury oraz autor dwóch znakomitych wcześniejszych książek: *Samobójczynie* i *Middlesex*, dał się poznać jako pisarz świadomy i dojrzały, który pisze mało, ale zdobywa najważniejsze literackie nagrody (Nagroda Pulitzera w 2003 roku). Pierwsza książka została zekranizowana przez Sopię Coppolę jako kultowe *Przekleństwo niewinności* w 1999 roku. Literackie tematy oscylują u pisarza wokół genderowej tożsamości, granic jej normy i prawie zawsze skłaniają nas do zastanowienia się nad jej skrajnymi fenomenami. Eugenides, poruszający się biegle w obszarach nowoczesnej humanistyki, takich jak psychoanaliza, dekonstrukcja, feminizm, postmodernizm i teorie gender, funduje nam lekturę atrakcyjną na wielu poziomach – jako zwykłą historię oraz jako zapis intelektualnych refleksji nad życiem społecznym. Z tej perspektywy jego pierwszą książkę – *Samobójczynie* – można nazwać freudowską, a drugą, *Middlesex*, lacanowsko-butlerowską.

Pierwsza powieść mierzy się z fenomenem dojrzewania i właściwą dla niego polaryzacją płciową. Narracja, prowadzona z perspektywy młodego chłopca, opisuje fascynację mieszkającą po sąsiedzku rodziną kilku sióstr. Ich charakter, tajemniczość, „dziwność” i piękno stają się motywem obsesji grupy chłopięcych rówieśników. Charakterystyczne, że pomimo szkolnej znajomości „towarzyszą” oni dziewczynom w sposób zapośredniczony, jak gdyby voyeurystyczny. Odczuwają przymus ich podglądania, studiowania ich niczym jakiegoś zajmującego, magnetyzującego fenomenu. Wszystko dlatego, że jedna z sióstr na początku historii popełniła samobójstwo. Jak się okaże na końcu narracji, tą samą drogą pójda wszystkie siostry – zrażone do swych męskich kolegów, przemocy relacji męsko-damskich, afirmujące w szalony sposób swe własne pragnienie unicestwienia. Rzadko w literaturze udaje się tak trafnie postawić pytanie o sens freudowskiej jednostki i freudowskiej (nie-)świadomości: czym są wzory naszego pożądania? Czy mężczyzna zawsze pożąda w kobiecie śmierci? Co oznacza bliskość Erosa i Tanatosa i czy nie jest ona rodzajem arbitralnej wersji społecznego układu, wytworzonego w procesie konkretnej +

socjalizacji? Dlaczego kobieta uwodzi tylko po stronie słabości? I wreszcie pytanie, które zostało postawione w związku z jednym z polskich, feministycznych pokazów filmu Coppoli: dlaczego dziewczynka i dlaczego musi umrzeć?

Mimo pozorów normatywności – narracja opisywała proces kulturowego uśmiercania dziewczynek – w pierwszej książce Eugenidesa istnieje zapis pokładów buntu. Czytelnik wychodzi z przekonaniem, że coś tu się musi zmienić, skala niesprawiedliwości jest szokująca. Eugenides wskazywał na konkretne elementy wzorów płciowych tożsamości, odpowiedzialne za tragiczny obrót wypadków: uprzedmiotowienie dziewczynek, konserwatywną seksofobiczną moralność, przyzwolenie na chłopięcą przemoc, alienację więzi dorosli–dzieci. Marzenie o wolności od ograniczeń płciowych powraca z mocą w kolejnej książce. *Middlesex* to historia hermafrodyty, która/y podejmuje świadomą decyzję co do tego, jaką płć wybiera. Co decyduje o naszej tożsamości – hormony czy edukacja? To pytanie zdaje się przyświecać epopei opisującej losy jednej postaci na tle losów całej rodziny na przestrzeni wieku, gdzieś między Azją Mniejszą a Detroit. Jednostki, która wbrew wszystkiemu „odnajduje siebie” w stylizowanej powieści edukacyjnej połączonej z narracją mitologiczną (pisarz intrygująco eksploruje swe greckie korzenie). Powieść, igrając zarówno z konwencjami, jak i z wielką historią literatury, daje nam ujmujący i zabawny opis podróży „od jednej płci do drugiej” (choć *Middlesex* jest nazwą topograficzną, można zawsze przetłumaczyć to słowo jako „płć pomiędzy”). Epopeja jest zawsze afirmacją egzystencji, tym razem wzbogaconą o to podstawowe, ponowoczesne (lacanowskie) pytanie podmiotu: kim jestem w sensie kulturowym i jaki to ma związek z moją biologiczną płcią? Odnajdywanie przyjemności w transferze i odwracaniu wartości tradycyjnie związanych

z seksualną różnicą jest jednym z postulatów ponowoczesnej emancypacji, której podstawowym celem pozostaje przewartościowywanie społecznego porządku (jak w myśli społecznej i filozofii Judith Butler).

Ostatnia powieść, *Intryga małżeńska*, mimo że całkowicie współczesna, przenosi nas w świat trochę inny – w samo serce powieści wiktoriańskiej, osnutej wokół rozważań na temat natury związków miłosnych i matrymonialnych oraz ich społecznego funkcjonowania. U Jane Austin jednak małżeństwo (z miłości) kojarzyło się z emancypacją – to znaczy z takim przekonaniem, wedle którego kobieta może sobie podporządkować istniejący porządek, tak aby afirmował jej pragnienia i jej tożsamość. Tymczasem u Eugenidesa miłość jest dosłownie ślepa, w sensie egzystencjalnym wystawia nas na ranę i jest miejscem, w którym los najdoskonalej z nas drwi. *Intryga małżeńska* to powieść studencka, autobiograficzna zapewne, powieść, która skupia się na dojrzewaniu – nie tym pierwszym, nastoletnim, ale tym drugim, młodzieńczym – do swego rodzaju pełni człowieczeństwa. Jej bohaterowie są młodzi, szukają siebie pośród akademickich lektur oraz pośród zawiązywanych przyjaźni i uczuć głębszych. Są oni między innymi uczestnikami uniwersyteckiego kursu *Intryga małżeńska w powieści wiktoriańskiej*, a także kursów z literackiej dekonstrukcji i filozofii postmodernizmu. Erudycja Eugenidesa i jego doświadczenie nauczyciela akademickiego są tutaj najlepiej wykorzystane (nie ma chyba współczesnego pisarza, który by z taką swadą i wdziękiem wplatał wysokie, „intelektualne” wątki do realistycznej narracji). Duch Derridy i Barthes’a unosi się nad stronami powieści, a ona sama staje się rodzajem akademickiego wykładu. Zakochani studenci pytają więc bez końca: „co to znaczy, że mówię, że kocham?” albo: „jakiego typu

iluzją jest miłość?” lub: „czym jest mieszczańska stabilizacja?”, przymierzając swą wiedzę, ironię i swe przekonania do świata, który za chwilę będzie chciał ich pokonać.

Ostatecznie jednak książka Eugenidesa to powieść o krańcowej deziluzji. Jej bohaterowie niby przeżywają społeczną zmianę, żyją w czasach dokonanej rewolucji seksualnej (lub tego, co z niej zostało), dysponując teoretycznie większą osobistą wolnością niż ich rodzice. Jednak stare wzory się skończyły, a nowe nie są pewne. Dzieje młodzieńczego trójkąta miłosnego przypominają egzystencjalny koszmar: ona kocha jego, lecz on, świetnie zapowiadający się geniusz nauk ścisłych, jest niestabilny psychicznie i pogrąża się w autodestrukcji; ją tymczasem kocha inny – młody religioznawca, niby altruistycznie nastawiony do świata, ale w swojej obsesji zdający się nie dostrzegać realnej osoby, stojącej za przedmiotem pragnienia. Nic tu nie pomoże: ani ucieczka w małżeństwo (które szybko się rozpadnie), ani ucieczka na koniec świata, do zakonu Matki Teresy (która obnaży egoizm bohatera, myślącego o sobie w sztucznie wdrukowany, podniosły sposób). Młodzi się duszą w swojej donkiszoterii (opieka nad chorym małżonkiem) czy w powierzchownym altruizmie, zaprogramowani na fałszywe cele. Nie potrafią nadać prawdziwej wielkości swojej wolności. To powieść o niedojrzałości osobistej, psychicznej, ale również, szerzej, być może o niedojrzałości zbiorowej, mentalnej, społecznej.

Pytanie tylko, czy sam Eugenides nie bierze udziału w utrwalaniu tego, co dekryptuje. *Intryga małżeńska* to również, jeśli nie przede wszystkim, powieść o seksualnej różnicy. Kobięca bohaterka zmagą się ze swą stereotypową skłonnością do poświęcenia – wbrew sobie, własnym uczuciom i pragnieniom

(choć może raczej jest pogrążona w schizofreniczności swych uczuć, z brakiem znajomości siebie jako asertywnego podmiotu). Wyraźniejszy męski bohater (w którym dopatrzyć się możemy alterego autora), pogrążony w miłosnej i seksualnej obsesji, nie umie być świadomy jej autoteliczności, całkowitego zwrócenia na siebie samą. Męski podmiot skupiony jest w fałszywy sposób na sobie samym (na Tym Samym), a kobiecy, w równie zakłamany sposób, na innym (Inny to oczywiście mężczyzna). Równolegle Eugenides w specyficzny sposób opisuje trójkąt miłosny: nie ma tu afirmacji, są tylko desperackie wybory. Męski podmiot pożądania (a właściwie męski triumf pożądania) zostaje zdekonstruowany – jeden z bohaterów po prostu nie chce, aby wybranka mu się „wymknęła”, drugi – pragnie za wszelką cenę ją „posiąść”.

Bohaterowie nie komunikują się ze sobą, nie rozmawiają w sposób prawdziwy i pogłębiony; żyją, jakby nie umieli żyć, poza zastępując tu każde możliwe wewnętrzne doświadczenie. Gdy to piszę, ważę na szali deziluzję i zaskakujący konserwatyzm tej powieści. Wiktoriański model miłości zostaje tu przekroczony w dziwny sposób: męski protagonista – czyli „zakochany” – dochodzi do kresu, swoistej pustki swoich pragnień. Nie ma tu mowy o jakiegokolwiek etyce różnicy płci. Tym bardziej ciekawe, że pośród różnych intelektualnych guru lat 60. i 70. Eugenides wymienia także feministyczne filozofki. W pewnym momencie jeden z głównych bohaterów znajduje się w Paryżu, gdzie wraz z kolegą odwiedza jego narzeczoną. „Chociaż na Sorbonie ucześnieła jako wolna słuchaczka – pisze Eugenides – na prowadzone przez Luce Irigaray wykłady *Związek matka–córka, najmroczniejszy z mrocznych kontynentów*, Claire poszła za matczynym przykładem i wyłożyła ręczniki dla gości”. Claire jest młodą feministką i w oczach świeżo +

upieczonego religioznawcy wydaje się oschłą dogmatyczką. Nieco dalej zanosi się na kłótnię o Hemingwaya, którego opowiadanie bohater na złość wyjął z plecaka. „Doskonale zdawał sobie sprawę, że pewni pisarze, którzy niegdyś należeli do literackiego kanonu (zawsze mężczyźni, zawsze biali), popadali w niełaszkę. Hemingway był mizoginem, homofobem, tłumił skłonności homoseksualne, mordował dzikie zwierzęta. Mitchell uważał, że w jego przypadku krytyka była zbyt ostra. Gdyby jednak wdał się w spór z Claire, ryzykowałby, że jemu też przyklei łatkę mizogina. Co go bardziej martwiło, Mitchell musiał zadać sobie pytanie, czy nie odpiera zarzutu o mizoginię równie odruchowo, jak uniwersyteckie feministki go wysuwają, i czy ten jego opór nie oznacza, że gdzieś w głębi ducha, faktycznie ma skłonność do mizoginii. [...] Dlaczego, wiedząc już co nieco o Claire, postanowił wyciągnąć z plecaka Hemingwaya w tym konkretnym momencie? Dlaczego w rzeczy samej przyszło mu do głowy słowo «wyciągnąć?»”.

Uderza w tym fragmencie zarówno feminizująca świadomość pisarza, natychmiast zderzona z „odruchowością uniwersyteckich feministek”, jak i przebudzona w wątpliwości samoświadomość bohatera, karmionego tradycyjnymi, religioznawczymi tekstami, co do własnej mizoginii. Wątpliwość ta pojawia się jednak tylko na chwilę. Również Eugenides jako pisarz, który przyswoił ponowoczesne dyskursy, nie jest w stanie spojrzeć na swoją narrację z perspektywy własnej mizoginii, by ją przewartościować. Izolacja i alienacja jego bohaterów muszą więc sięgnąć apogeum. Mitchell szczerze nienawidzi przygodnej bohaterki Claire (ale być może tak samo nie rozumie dziewczyny, którą kocha) i ta niechęć jest czymś więcej niż tylko psychologicznym wyznacznikiem na poziomie akcji powieści. Autor, mimo że jest praktykującym wykładowcą akademickim,

stanowczo odrzuca możliwość przyjęcia feminizmu (albo feminizmów) w krąg poważnych propozycji teoretycznych czy filozoficznych. Wykazuje się jedynie jego powierzchowną znajomością (muszę przyznać, że moje czytelnicze rozczarowanie sięgnęło w tym momencie szczytu – no właśnie, dlaczego „szczytu”?). Wróćmy do Claire, chodzącej na zajęcia jednej z najważniejszych francuskich feministek drugiej fali, kontynuatorki i reformatorki myśli Lacana, psychoanalityczki i filozofki, Luce Irigaray.

Powróćmy jeszcze na chwilę do przywołanego wcześniej fragmentu: „Chociaż na Sorbonie uczęszczała jako wolna słuchaczka na prowadzone przez Luce Irigaray wykłady *Związek matka–córka, najmroczniejszy z mrocznych kontynentów*, Claire poszła za matczynym przykładem i wyłożyła ręczniki dla gości” (w tłumaczeniu Jerzego Kozłowskiego). Prawdopodobnie mamy tu do czynienia z małym potknięciem translacyjnym: w feminizmie mówi się raczej o „relacji matka–córka”, co pozwala na wielu poziomach analizować kobiecą podmiotowość zarówno w rodzicielskim związku, jak i podczas rywalizacji, jaką on wytwarza, w substytutach, które tworzy, w braku jego symbolizacji w naszej kulturze, skupionej na relacji matka–syn. Irigaray jest myślicielką, która poświęciła temu tematowi sporo miejsca. Także autorka tego tekstu właśnie temu tematowi w ujęciu Luce Irigaray poświęciła pierwsze lata swych feministycznych fascynacji. Irigaray używała freudowskiego terminu „czarny ład psychoanalizy” na określenie kobiecości (a więc nie „mroczny kontynent”), a relację matka–córka określała jako „czarny ład czarnego ładu”. Relacja matka–córka miałyby być tym, co choć nabrzmiałe stłumionym znaczeniem i podszyte nieświadomymi fantazmatami, a także pragnieniami, jest najbardziej wypartym tematem z obszaru „kobiecości”.

Figura „matki” bowiem w sensie symbolicznym jest jednym z najważniejszych toposów Irigarayowskiej myśli, przekraczającej znacząco horyzonty Lacana. Tradycyjna psychoanaliza, u Freuda skupiona na figurze ojca, u Lacana dostaje wykładnik „faliczności” prawa ojca. Nasza kultura, a nawet nasza wyobraźnia skupione są na wartościach męskocentrycznych i na uprzywilejowujących mężczyzn wzorach społecznych i symbolicznych, w tym na wzorach pożądania, wzorach rodziny, paradygmatach podmiotowości i jej spełnienia. Kobieta już u Freuda była po stronie „zagadki”, metafory „ciemnej nocy” lub właśnie „czarnego kontynentu”. Czy i dlatego twórca psychoanalizy, który pomógł nieskończonym zastępom kobiet uwiecznionych w opresyjnych społeczeństwach (psychoanaliza zyskała swoją renomę jako kobiece „leczenie przez rozmowę”), nie chciał bądź nie mógł dostrzec podmiotowości kobiet, strukturalnie tworzącej się w odniesieniu do hierarchicznie wywyższonej męskości, jako podmiotowości właśnie, trudno dziś jednoznacznie dociec? U Lacana każda jednostka wchodzi w jednoznacznie męski i „faliczny” wzór podmiotowości. To, co kobiece, pozostaje rodzajem resztki, przekreślonej podmiotowości; wchodzi w rolę uciekającego obiektu, synonimu zawsze pękniętego pragnienia. Nietrudno dostrzec, że w obu teoriach góruje męska perspektywa jako uniwersalna. Irigaray podejmuje się więc na kształt Freuda próby odczytania mitów nie tylko w „męskocentryczny”, „edypalny” sposób. Przewartościowując Lacana, przekształca wzory kultury i naszych wyobrażeń, odnawiając prokobiece znaczenia.

Obok Edypa pojawia się więc figura Klitajmestry, zdradzonej żony, zabójczynie męża, której wierności dochowa Elektra za cenę własnego szaleństwa. Figura Antygony wierniejsza macierzyńskiej metaforze krwi niż posłusz-

na męskiemu prawu czy figura Kory, której związek z matką, Demeter, został brutalnie przecięty. W swej teoretycznej pracy francuska filozofka skupia się również na figurze ciąży jako matrycy filozoficznej relacyjności, prototypu relacji etyki różnicy (płci), która respektuje i umacnia wzajemną podmiotowość stron (odrzucając relację podmiot–przedmiot). A także na wzorach socjalizacji, które uczą chłopców pogardzać kobietami, w tym własną matką, za cenę wejścia w męskość, podobnie jak uczą dziewczynki gardzić sobą (jako wybrakowanym, nie-męskim podmiotem) i śmiertelnie rywalizować między sobą (w tym także z matką), o to, co męskie. W tradycyjnej symbolice miejsce matki jest jedno – i jest to też jedno z pewnych miejsc kobiecego prestiżu, podczas gdy sama kobieta (jako wykluczona, niedoceniona i niechciana) pozostaje synonimem (nie tylko seksualnego, ale też anarchicznego) zagrożenia dla wspólnoty, niepewności, hysterii i rewindykacji. Kobięca anarchiczność podkreśla, że żyjemy w świecie, w którego konstruowaniu wartości oparte na kobiecej podmiotowości, nie brały udziału. „Zmienić matkę” – to dla Irigaray oznaczało zmienić świat, miejsce kobiet i porządek społeczny w imię dowartościowania pluralizmu, wspólnoty i indywidualnego samospełnienia¹.

Prawdopodobnie tego dotyczyły książkowe wykłady Irigaray, na które uczęszczała początkująca feministka Claire. Czy jest zatem dziwne, że wyłożyła, wzorem swojej matki, ręczniki dla gości? Pewnie i sam Eugenides zrozumiałby,

¹ Dla zainteresowanych podaję bibliografię moich tłumaczeń Irigaray związanych z tym tematem: L. Irigaray, **Ciało w ciało z matką**, Kraków 2000; L. Irigaray, **I jedna nie ruszy bez drugiej**, [w:] A. Nasiłowska (red.), **Ciało i tekst**, Warszawa 2000; A. Araszkievicz, **Czarny ład czarnego kontynentu. Relacja matka–córka w ujęciu Luce Irigaray**, [w:] M. Hornung, M. Jędrzejczak, T. Korsak (red.), **Ciało, płęć, literatura**, Warszawa 2001.

że nie i że właśnie jego bohaterka postępuje zaskakująco poprawnie, w sposób wyemancypowany od jego własnej logiki jako autora. Nie, „mroczność relacji matka–córka” nie oznacza „naturalnej kobiecej wrogości” i tego, że córki nienawidzą matek oraz chcą robić wszystko inaczej niż one. Nie mam wątpliwości, że Eugenides nigdy nie przeczytał Irigaray. A może miał z nią jakieś nieprzyjemne teoretyczne lub realne spotkanie (Irigaray przebywała w Stanach)? Na pewno zetknął się jednak z jakąś lekturą filozofki. Metafora „czarnego ładu czarnego ładu” (*le continent noir du continent noir*) pojawia się w rozprawie *Ciało w ciało z matką* (którą miałam przyjemność przetłumaczyć na język polski), ale nigdy nie rzuciła mi się w oczy jako wyodrębniony tytuł (nie wiem także, czy rzeczywiście był to tytuł paryskich zajęć). Niewiarygodny zbieg okoliczności sprawił jednak, że stała się tytułem mojego obszernego eseju na temat francuskiej filozofki: *Czarny ład czarnego kontynentu. Relacja matka–córka w ujęciu Luce Irigaray*, który opublikowałam w 2001 roku (niemożliwe jednak, żeby mieszkający wtedy w Berlinie Eugenides zetknął się z moim tekstem, do tego napisanym po polsku – piszę to oczywiście z małym przymrużeniem oka).

Wielka to szkoda, że wybitni pisarze i intelektualiści danej epoki czytają innych myślicieli, a zwłaszcza myślicielki na wrywki. Dla przykładu mogę podać wspaniałą pracę Michała Pawła Markowskiego o Derridzie. Nie uwzględnił on jego silnej więzi myślowej i pisarskiej współpracy z inną ważną francuską feministką drugiej fali, Hélène Cixous. Dlaczego? Dlaczego ponad 100 lat po XIX wieku wybitny wysiłek intelektualny kobiet pozostaje ciągle niemy w męskich umysłach? Wydaje mi się, że powieść Eugenidesa dużo na tym traci – rozczarowujący jest jego wysiłek opisanie deziluzji pogrążonych w swych

stereotypach płciowych podmiotów, stereotypach dawno już przez innych w poważny i pogłębiony sposób podważonych.

Tak, Jeffrey Eugenides to wielka literatura. Ostatnio ukazały się we Francji słynne pirackie wspomnienia z 1824 roku niejakiego Aarona Smitha pod tytułem *Les Atrocités des pirates* (Okrucieństwa piratów). Sam autor, pojmany przez piratów z Mórz Karaibskich i uwolniony z ich rąk, opisywał w nich ze swadą swoje przygody. Stworzył podwaliny mitologii pirackiej, funkcjonującej do dzisiaj w repertuarze popkultury, a zwłaszcza postać jednookiego kapitana rozbójników, z papugą na ramieniu, manipulatora i nie tyle chciwego szalbiercy, ile niegodziwego eksploratora ludzkich słabości. Współczesny francuski historyk Frantz Olivié dopisał jednak do tekstu oparte na szerszych badaniach posłowie, w którym dowodzi, że Smith, któremu groził proces o współudział w napadach, zmistyfikował swoje wspomnienia i literackim talentem wygrał z historią. Jeśli więc potraktujemy współczesnego pirata jako mistyfikatora i naciągacza historii, który kapitalizuje swoje zyski na manipulowaniu wiedzą i intelektualnych nadużyciach, to tak, Eugenides jest twórcą wielkiej literatury, ale jest to literatura piracka. ●